

Helmuth Julius Bauer

Polsko-niemiecko-polskie przeżycia...

1. Dziecięcy bucik...

Noszę w sobie obraz z roku 1978 z południowo-wschodniej Polski, który powstał w ciągu kilku zaledwie godzin, jako nierozzerwalny zbitok dwóch diametralnie odmiennych sytuacji i przeżyć. Historię dziecięcego bucika opowiedziałem moim córkom Lenie Hedwig i Jule Lizie na początku roku 2010, pisząc posłowie do swojej książki „Obrazy, które pozostają na zawsze”. Na koniec obie powiedziały: *„Jak skończysz książkę, musisz odnaleźć Krzysztofa i sprawdzić, jak się ma.”*

Po ukończeniu doktoratu z dziedziny literaturoznawstwa w roku 1972 oraz zakończeniu nauki zawodu ślusarza, pojechałem latem 1978 roku naszym volkswagenem-busem do Polski. Byłem w tym kraju po raz pierwszy. Spędziłem więcej czasu w Stutthofie niż w Gdańsku, w Białymstoku niż na Mazurach, w Majdanku niż w Lublinie, w Oświęcimiu niż w Krakowie. W Warszawie wówczas jeszcze nie byłem.

Na rozległym obszarze morza kamieni przed Trebliką nie spotkałem żywej duszy. Zabłądziłem i w półmroku nie odnalazłem już właściwej drogi. Na myśl o spędzeniu nocy w moim busie w tym miejscu, ogarnęła mnie panika. Kiedy ujrzałem na horyzoncie pojedyncze światełka, zacząłem jechać w ich kierunku połą drogą, naciskając mocno pedał gazu, aż ujrzałem przed sobą rów. „Zamknij oczy i gazu” – kołyszące się i ślizgające koła ponownie wjechały na twarde podłoże.

Następnego dnia, w lubelskiej katedrze widzę stare kobiety klęczące podczas mszy na kamiennej posadzce. Później podążam przez baraki w Majdanku. Prerażony stoję w jednym z bocznych pomieszczeń. Stosy dziecięcych bucików. Takich małych, jak buciki mojej Leny, które zakładam jej rano, zanim pójdziemy w Berlinie do przedszkola. Stoję oniemiały. Płacę jak dziecko.

Najpierw nie chciałem ruszyć się stąd. Siedziałem kompletnie zdruzgotany, paląc pod ogromnym kamieniem, który góruje nad parkingiem dawnego obozu koncentracyjnego w Majdanku. W końcu jednak wstałem, by uciec stąd jak najdalej, na południowy wschód. Kiedy jadę przez Zamość, jeszcze nie wiem, że jest to miejsce urodzenia Róży Luksemburg. Nie wiem również, że to miasto w roku mojego urodzenia zostało przeznaczone do całkowitego wyludnienia z mieszkańców polskich i zaludnienia go Niemcami; miało nosić nazwę *Himmler-Stadt*, miasto Himmlera. Nie wiem też, że z okolic Zamościa w roku 1942 zostali deportowani wszyscy Polacy. Tutaj niemieccy

wizjonerzy zagłady chcieli ludność polską osaczyć na ograniczonej przestrzeni i zdusić biologicznie, aby stworzyć miejsce dla osadnictwa rdzennych Niemców.¹

Czerwony maluch zatrzymuje się przede mną na każdym świetle. Jedzie tą samą drogą. Za Zamościem wyprzedzam go i teraz jedzie za mną. Kalinowice, Jatutów. Wsie rozrzucone po prawej i lewej stronie drogi. Jadę za jednym z PKS-ów. Wtedy to się stało!

Pomiędzy masywnego Ikarusa i mojego busa wbiega na ulicę od prawej strony mały chłopiec. Tuż przed moją szybą – blond czupryna, potem uderzenie i dziecko leci w powietrzu wysokim łukiem. Kiedy mój bus już stoi i zmierzam w tamtą stronę, polski chłop trzyma dziecko w ramionach. Główka Krzysztofa spoczywa na piersi ojca. Mała blondwłosa siostrzyczka patrzy przestraszona w ich stronę. Maluch zawrócił i zatrzymał się przy nich. Pokazują mi gwałtownymi ruchami, że mam zostać na miejscu. Ojciec i syn zostają zawieszani w kierunku Zamościa. Dziewczynka biegnie połą ścieżką w stronę zrozpaczonej matki. Na środku skrzyżowania leży dziecięcy bucik.

Jest niedzielne popołudnie. Siedzę koło Łabunia na nasypie drogi prowadzącej z Majdanka do Bełżca. Przejeżdża niewiele samochodów. Wciąż pojawiają się mieszkańcy okolicznych gospodarstw. Siadają koło mnie, tworząc krąg, jakby chcieli mnie pilnować. Lub chronić. Nikt się nie odzywa. Proponują mi papierosa. Siostrzyczka musiała opowiedzieć mamie, że braciszek chciał przebiec na drugą stronę ulicy do niej i ojca. I przy tym „dopał” go niemiecki samochód. Czy ojciec i syn dotarli już do szpitala w Zamościu? Czy Krzysztof jeszcze żyje?

Po upływie półtorej godziny przyjeżdża szaroniebieska milicyjna Nysa. Przywieźli prokuratora, który zna trochę angielski. Dmucham w alkomat. Oddaję paszport, wizę i dokumenty pojazdu. Potem każą mi jechać za sobą. Na posterunku w Zamościu zamykają mój pojazd w garażu.

Chcę jechać do szpitala, ale przez cały wieczór jestem wciąż przesłuchiwany przez coraz to nowych urzędników w cywilu, mówiących łamanym niemieckim, bądź angielskim. Moje kolejne pytania o stan dziecka pozostają bez odpowiedzi. Tego oni nie wiedzą, dziecko jest w Tomaszowie.

Po wielu godzinach pozwalają mi zadzwonić do Juliusza Brniaka w Krakowie. Pracuje jako adwokat ofiar nazistów. Wówczas nie znałem jeszcze Juliusza, ale umówiłem się z nim telefonicznie na pojutrze. Brniak mówi dobrze po niemiecku. Kiedy mu mówię, że mnie tu okłamują, bo wiem na pewno, że dziecko jest w Zamościu, a nie w Tomaszowie, jeden z przesłuchujących zbliża się, grożąc mi. Mówię, że chcą mnie pobić i odgradzam się słuchawką jak tarczą od napastnika. Adwokat po drugiej stronie

¹ Götz Aly/Susanne Heim: *Wizjonerzy zagłady. Oświęcim i niemieckie plany nowego europejskiego porządku*, Frankfurt nad Menem, s. 432-437.

ma autorytet, który mnie chroni.

Krótko przed północą mówią mi, że konfiskują dokumenty i pojazd. Mam iść do hotelu, który znajduje się w pobliżu i stawić się ponownie o 8 rano. Tej nocy szukam tego dziecka. Jeden z nielicznych przechodniów idących jeszcze ulicą, na pytanie o szpital – wskazał mi kierunek przeciwny do hotelu. W szpitalu odnajduję izbę przyjęć i dyżurnego lekarza w małym pomieszczeniu z kozetką i umywalką.

Doktor Zbigniew Kowalczyk mówi trochę po angielsku, studiował przez rok w Edynburgu. Prowadzi mnie na oddział intensywnej opieki medycznej. Krzysztof leży na boku bez ruchu, w dziecięcym łóżeczku. Oddycha prawie niezauważalnie, nie ma żadnej reakcji oprócz bólu. Doktor Kowalczyk nie potrafi powiedzieć, czy jego mały pacjent przeżyje, to bardzo ciężkie stłuczenie mózgu. O drugiej w nocy jestem w hotelu. Portier przynosi mi do pokoju dwie szklanki wódki.

Następnego ranka czekają na mnie oficer milicji, tłumaczka przysięgła i rzeczoznawca, którego ściągnięto z urlopu. Jazda kontrolna volkswagenem busem. Próbnego hamowania. Przesłuchania. Po południu o wpół do czwartej dostaję paszport, wizę, samochód i pisemne oświadczenie, że nie wniosą przeciwko mnie oskarżenia, jestem niewinny, wolny. *Ale przecież dzieci nie są winne*, myślę. W szpitalu odnajduję matkę, ojca, siostrzyczkę i jedną z cioć przy łóżku dziecka; tak jasnowłosego, jak moja Lena w Berlinie. Również słowa i dotyk matki nie wywołują u niego żadnej reakcji. Ale rodzina chce mieć ze mną zdjęcie przed oddziałem. Ustawiają się koło mnie, a mała jasnowłosa Tereska sięga nieśmiało po moją rękę.

Lekarza z dyżuru nocnego jeszcze nie ma, ale kiedy idę do wyjścia z zamiarem wyjazdu do Krakowa, wychodzi mi naprzeciw. Spostrzegł to, czego ja nie czułem. W takim stanie nie można jechać. A już na pewno nie samochodem, którym poprzedniego dnia potrafiło się dziecko. Po tym, jak jeszcze raz odwiedziliśmy Krzysztofa, Zbyszek zabiera mnie do siebie do domu. Dzięki jego żonie Basi, córkom Małgosi i Basi i dziadkom, doświadczam nadzwyczajnej gościnności, dzięki której robi mi się ciepło na duszy. Dopiero na dzień przed terminem upływu mojej wizy – wyjeżdżam. Krzysztof nadal nie reagował. Uczynił to dopiero dwa dni później. Dowiaduję się o tym po przyjeździe do Berlina. W drodze powrotnej spędziłem pół dnia w Oświęcimiu. W obozowym muzeum przerażony zobaczyłem wystawę NRD: pochwałę niemieckich komunistów – Waltera Ulbrichta.

Pomimo, że Birgit jest w siódmym miesiącu ciąży z naszą córką Jule Lizą, jedziemy wspólnie rok później wyboistymi drogami południowej Polski, do Łabunia – na południowy wschód od drogi na Zamość. Rodzina lekarza jedzie z nami. Już z daleka dostrzegamy blond czuprynę, która wspina się po dachu szopy i wypatruje zielonego busa z Niemiec. Raz w miesiącu ojciec jeździ z synem do lubelskiej kliniki na kontrolę. Jako następstwo wypadku może pojawić się epilepsja. Matka i dzieci wypożyczyły garnki, miski, talerze, szklanki i sztućce od sąsiadów. Na stole wódka, wędzona kiełbasa, kurczaki, grzyby, pomidory, ogórki, boczek i wszystko, co można jeszcze znaleźć we wschodniej Polsce. Jemy, pijemy i weselimy się dwa dni. Jednak nie pozbyłem się widoku bucika. Jest wciąż „obecny” w mojej podświadomości, punkt zwrotny, który niezauważalnie wpływa na uczucia, myśli i czyny.

W burzliwych latach po roku 1968, francuski dramaturg Armand Gatti – *artysta rezydujący*, mieszkał i pracował w Berlinie. Demonstrowaliśmy wspólnie przeciwko amerykańskiej wojnie w Wietnamie i przemocy policji z Berlina Zachodniego wobec studentów. Powstała wówczas sztuka Gattiego *Rosa Kollektive*, w której w premierowym przedstawieniu w roku 1971 grała również moja ówczesna żona, Therese. Sztuka odzwierciedlała jego poszukiwania tego, co pozostało na wchodzie i zachodzie z ideałów i walki Róży Luxemburg i Karola Liebknechta. W miejscu, gdzie odnaleziono ciało zamordowanej Róży w styczniu 1919 roku, Gatti znalazł co prawda hotel Hilton, ale żadnej tablicy pamiątkowej. Tylko promienie niebiesko-srebrnej, obracającej się gwiazdy Mercedesa na dachu europejskiego centrum, przecinały nocną scenerię. Armand Gatti, członek francuskiego ruchu oporu Macquis, został aresztowany w roku mojego urodzenia i w wieku szesnastu lat, w roku 1943, skazany na śmierć, a następnie ułaskawiony i deportowany do obozu pracy koło Hamburga. W swojej sztuce *Siedem możliwości pociągu z Oświęcimia* opisał bląkający się po Europie skład, którego pasażerowie, byli więźniowie obozu w Oświęcimiu, nie byli mile widziani w żadnym kraju. Jednocześnie wraz z ukończeniem prób do premiery w Wiedniu, zakończyłem pracę nad książką Daimler-Benz. Ku mojemu zaskoczeniu, Dante, jak nazywają go jego przyjaciele, używając imienia z chrztu, stworzył postać Helmuta Bauera, która co prawda nie pojawia się na scenie, ale o której wiadomo, że wydobywa z mroku na światło dzienne nazwiska, głosy i obrazy kobiet deportowanych do obozu pracy Ravensbrück. Było to pięć lat wcześniej, nim znalazłem w Londynie 30 gwaszów o tematyce deportacyjnej, autorstwa węgierskiej Żydówki Edith Kiss. Potem jeszcze sześć, zanim w styczniu 1993 roku udałem się po raz pierwszy do Ravensbrück, aby zaprezentować dyrektorze tamtejszego muzeum Sigrid Jacobeit cykl obrazów Edith Kiss, poświęconych jej aresztowaniu i pracy przymusowej dla Daimler-Benz w miejscowości Genshagen. Namalowała w ciągu dwóch miesięcy, latem 1945 roku, tuż po swoim uwolnieniu. Jednak kiedy poeta Gatti chciał pisać ze mną sztukę o ślusarzu, który popełnił samobójstwo z własną maszyną, nie zgodziłem się; z tematem życia i śmierci musiałem rozprawić się sam.

2. Dziecko frontu wschodniego²

Urodziłem się jako pierwszy syn ślusarza, Juliusa Christiana Bauera i jego żony Hedwig Marii, z domu Winkler, 18 czerwca 1943 roku w Ulm nad Dunajem. Wychowałem się wraz z dwójką rodzeństwa, o sześć lat starszą siostrą Christą i z moim o trzy i pół roku młodszym bratem, który urodził się rok po powrocie ojca z wojny.

Od 1939 do 1945 roku ojciec służył w Wehrmachcie, najpierw we Francji, a następnie jako sierżant w Rosji na froncie wschodnim. Moja matka (1909 – 1992) była pracownikiem biurowym w żydowskiej firmie tekstylnej Cohn&Ullmann w Ulm. Przestała pracować po urodzeniu córki Christy w 1937 roku. Opowiadała, że w tym czasie rodziny jej żydowskich szefów wyjechały do Amsterdamu. Jak się dowiedziałem (już po śmierci matki) z jednej z książek dotyczących deportacji Żydów z Ulm, zostali oni w czasie wojny deportowani z Holandii i zamordowani w Theresienstadt i Oświęcimiu.

W czasie moich narodzin, 18 czerwca 1943 roku, ogłoszono alarm bombowy i wszystkie dzieci zostały przeniesione do piwnic szpitalnych, noworodki również. Ponieważ, jak powiedziała mi mama, dzieci były *najwyższym dobrem wodza*, matki pozostały na porodówce, a dzieci w piwnicy. Mój przyjaciel Gyuri Feheri skomentował to następująco: „Widać byłeś mile widziany jako *dobro wodza*”. Matka powiedziała mi później, że cieszyła się również z pozostałej dwójki dzieci, ale tylko ja zostałem splodzony świadomie jako męski potomek, w czasie frontowego urlopu mojego ojca. Spytałem ją: „Jak można było na jesieni 1942 roku koniecznie chcieć mieć dziecko ?” „Myśleliśmy, że wygramy wojnę i wszystko będzie lepiej” – powiedziała. Wtedy jeszcze wszyscy mieli w pamięci Stalingrad. Mój przyjaciel, poeta Armand Gatti nazwał mnie kiedyś *dzieckiem frontu wschodniego*. Zauważył, że coraz bardziej koncentruję moje poszukiwania i dokumentację na pierwszych dwóch latach mojego życia.

W lecie 1944 roku zostaliśmy ewakuowani, wskutek rosnącego zagrożenia bombardowaniami, do wsi Neenstetten w jurze szwabskiej. Jedną z nielicznych informacji o moim ojcu z okresu wojny, którą uzyskałem od matki jest to, że powiedział w czasie urlopu do miejscowego nazisty: „Nie wrócę na front, jeśli moja rodzina nie będzie tu miała mieszkania”. No i dostaliśmy mieszkanie na pierwszym piętrze, nad kowalem.

Kiedy miałem dwa lata ojciec wrócił z wojny, wydawał mi się zupełnie obcym człowiekiem. Widzę go siedzącego na stołku w kuchni, cały kark miał pokryty czyrakami; wciąż pamiętam, jak matka z bólem wyciskała mu ropne czopy.

W roku 1949 poszedłem do szkoły podstawowej w Ulm-Soflingen, nazywanej wówczas szkołą ludową. Kiedy byłem w trzeciej klasie, nauczyciel powiedział do moich rodziców: „Ten chłopak powinien iść do liceum, jest zdolny”. Więc wysłali mnie do liceum imienia Schubarta w Ulm; wśród dzieci robotników był to wówczas wyjątek.

² Napisane na podstawie wywiadu, który przeprowadził ze mną mój przyjaciel, węgierski literaturoznawca Györgi Feheri, w roku 2007, <https://www.gesichter-der-kz-zwangsarbeit.de/wie-der-autor-zu-seinem-thema-kam>

Nie pamiętam prawie żadnych rozmów o wojnie. Wiedziałem, że ojciec był sanitariuszem na tyłach frontu i kiedy spytałem go, czy strzelał – odpowiedział mi, że czasami strzelali w las, jeśli poruszały się tam *ciemne postaci*, np. przy którymś z obozów sanitarnych. Być może byli to partyzanci. Więc nie celowali w ludzi, jedynie *strzelali w las*, aby ich przepędzić. Nie sędzę, aby specjalnie męczyło go to, co zrobił. Dzisiaj już wiadomo już, co oddziały sanitarne robiły i jakie miały zadania. On – jako kierowca – woził również lekarzy. Dzisiaj wiadomo już, dokąd byli wożeni. Sędzę, że ojciec zobaczył takie rzeczy, które wywołały traumę i z którymi nie potrafił się uporać, a już na pewno o nich mówić. „Czy w powietrzu unosiło się to, co nie zostało nigdy wyjaśnione?” – spytał Gyuri.

Również w szkole nie dowiedzieliśmy się w zasadzie niczego o najnowszej historii Niemiec. Nawet o rodzinnym mieście. To było szczególnie przemilczane: w Ulm znajdował się od listopada 1933 do lipca 1935 roku obóz koncentracyjny Oberer Kuhberg, który naziści urządzili w dziewiętnastowiecznych fortyfikacjach. Dowiedziałem się o tym dopiero, studiując w Berlinie, dzięki mojemu bratu Friederowi. Poznał mnie z Otto Hornischerem, który był tam przetrzymywany i po wojnie walczył latami o pomnik pamięci ofiar w tych murach. W szkołach nie wolno było Ottonowi tego opowiadać. Hornischer był przecież komunistą.

Jego żona – Babette, opowiadała mojej matce i mnie, jak sprzedawała podczas wojny artykuły gospodarstwa domowego na rynku przed katedrą w Ulm, aby utrzymać siebie i córeczkę Inge. Nie dostawała żadnych pieniędzy od internowanego ojca. Od mieszkańców Ulm usłyszała, że powinna wraz ze swoim komunistycznym bachorem być wypędzona z miasta.

Całe moje dzieciństwo mieszkaliśmy na ulicy Königstrasse 33, w dzielnicy Kuhberg. Trzeba się było trzymać z daleka od mrocznych murów; mówiono, że koczują tam *ciemne postaci*, lecz my w lecie, w niedzielne popołudnia chodziliśmy często przez Kuhberg do ogrodów parafii metodystów. Dowiedziałem się też dużo później, że w tych kazamatach po zakończeniu wojny zakwaterowanobyłych robotników przymusowych, displaced persons. Dopiero po roku 1989 stanął tam pomnik pamięci ofiar.

Najnowsza i współczesna historia niemiecka dotarła do mnie poprzez teatr. Katalizatorem był *Kaukaski krąg kredowy* Bertolda Brechta, który inscenizował jego uczeń – Peter Palitzsch w sierpniu 1961 roku w Ulm. Podczas prób budowano w Berlinie mur. Pisano wówczas w ulmskiej prasie i mówiono na ulicach, że Palitzsch wraz ze „swoim” Brechtem mają zniknąć z miasta i „spadać” na swój wschód. Sędzę, że na przekór temu, wybrałem *Epicki teatr Bertolda Brechta*, jako temat mojej pracy maturalnej z niemieckiego, która została wyróżniona nagrodą książkową. Wybrałem tom z wydawnictwa Suhrkamp *Sztuki w jednym akcie*, wydane przez Waltera Höllera w roku 1961. Pamiętny omen: dekadę później pisałem doktorat u Höllera na Uniwersytecie Technicznym w zachodnim Berlinie.

Tytuł doktoratu brzmiał: „Pracować i jeść”, a podtytuł „Położenie i walka chłopów, rzemieślników i robotników i ich obraz w literaturze niemieckiej od 1770 do 1850 roku. Na podstawie tekstów Wielanda, Bürgera, Herdera, Jeana Paula, Klingera, Forstera,

Moritz Wolffa Weertha, Engelsa, Marksa, chłopów, rzemieślników i robotników. Był to czas rozruchów studenckich, kiedy możliwe było uzyskać tytuł doktora z dziedziny literatury, pracą analizującą literaturę z dziedziny historii gospodarki, społeczeństwa i zagadnień socjalnych. Mój promotor Walter Höller posiadał dostateczny autorytet, aby przeforsować doktorat poświęcony moim rodzicom, wbrew konserwatywnym głosom rady wydziału uniwersytetu. Jestem mu za to bardzo wdzięczny.

Teraz miałem tytuł doktora. Jednak wówczas wcale nie chciałem podążać tą drogą. Również wtedy, gdy Höller zaproponował, aby przygotować doktorat do wydania. Już od dawna byłem zdecydowany po obronie pracować w fabryce; „służyć ludowi” było hasłem mojego politycznego otoczenia – to, że spowodowane to było moimi wewnętrznymi wyrzutami sumienia, stało się dla mnie jasne wiele lat później, podczas terapii i pobytu w klinikach.

Po maturze, po Wielkiej Nocy 1962 roku, zacząłem studiować we Freiburgu i pojechałem w okresie zaostrzenia zimnej wojny poprzez kryzys kubański do miasta frontowego czyli Berlina Zachodniego, w którym panowała agresywnie antykomunistyczna atmosfera. Zawsze chętnie wracałem pociągiem przez NRD do domu. Tam dobrze się czułem, siedziałem na stołku w kuchni, kiedy matka gotowała, a ja starałem się zapamiętać jej przepisy. A jednak syn przybywał z coraz bardziej odmiennego świata.

Pamiętam, kiedy opowiedziałem ojcu o pisanej na proseminarium pracy o „Cierpieniach młodego Werthera” Goethego. Nie rozumiał, po co to robię. Bo przecież ciągle powtarzałem: „Nie będę nauczycielem.” Z nauczyciela moi rodzice byliby oczywiście zadowoleni, może też z kupca albo inżyniera... I stało się. W tym czasie, kiedy nie mieszkalem już w domu, że ojciec coraz bardziej pograżał się w depresji i nie mógł pracować. Wciąż widzę jedną z szuflad kuchennego bufetu pełną opakowań leków, ówczesnych antydepresantów. Ostatecznie odebrał sobie życie 10 stycznia 1967 roku. Przy pomocy dźwigu, w swoim miejscu pracy.

Moja siostra przekazała mi to w Bad-Godesberg przez telefon sceniczny. Byłem wówczas z „Trupą aktorską Zurych” na półrocznym tournée teatralnym. Nie byłem w stanie opłakiwać śmierci ojca i godnie się z nim pożegnać. Kiedy piętnaście lat później pracowałem jako ślusarz w fabryce Daimler-Benz wozilem jego urządzenie do cięcia szkła w mojej skrzynce z narzędziami, pomimo że nie było żadnego szkła do cięcia. Wciąż i na nowo próbowałem nosić jego buty robocze, choć nie mogłem w nich ani chodzić bez bólu, ani tym bardziej pracować. Do dzisiaj noszę w kieszeni jego scyzoryk z dwoma wąskimi ostrzami i korkociągiem.

Pisząc biografię Edith Kiss pojąłem, że nie tylko warunki pracy doprowadzają do samobójstwa, czy jak miało to miejsce w przypadku Edith Kiss – tragiczne warunki obozu pracy przymusowej. Dopiero trauma skumulowana (Anna Freud), której genezy należy szukać głęboko w dzieciństwie, odbiera pewnego dnia całą radość i energię. Mój ojciec miał dużo większe możliwości niż życie po traumie wskutek przeżyć na froncie wschodnim, jako kierowca w małym zakładzie „Towarzystwo Handlu Szklą Górnej Szwabii w Ulm”, dokąd wyruszał na rowerze codziennie rano, ze skórzaną teczką i

często wracał późnym wieczorem. Był przecież z wykształcenia ślusarzem i mam fotografie, na których widać, że reperuje silniki, rozkłada je, a następnie składa z powrotem. Doskonale pamiętam charakterystyczny zapach garażu, w którym stał jego stół warsztatowy i ciężarówka. Woził mnie jako małego chłopca swoją ciężarówką do fabryk szkła aż do Oberpfalz w Bawarii, do miasta Weiden, do Mannheim-Waldorf i Köln, gdzie szkło łało się z pieców, następnie walcowane i odpowiednio przycięte było pakowane w skrzynie, które prznosił dźwigiem na swoją ciężarówkę. Dzięki niemu poznałem fabrykę od środka.

Przeszłość wojenna, zwana „przed załamaniem”, była tematem tabu, co wiązało się z nastrojami w Niemczech w latach 50., a szczególnie w Szwabii. Chodziło tylko o odbudowę i uczestniczenie w cudzie gospodarczym, nie oglądanie się wstecz.

Rodzice próbowali dorobić się domu i samochodu, ale im się to nie udało, mieli tylko ogródek w Pracht, a w nim trochę ziemniaków, pomidorów, fasolki, szczypiorku, pietruszki, winogron i sałaty. A jednak wciąż dążyli, „aby coś osiągnąć”. I jeśli rodzicom to „coś” się nie udawało, miało się powieść ich dzieciom. Im ma „być lepiej”. Wciąż słyszę moją matkę: „Życie to codzienna walka” – ojciec swoją przegrał, ale rodzina nigdy nie musiała głodować.

Na uniwersytecie również unikaliśmy tematu dotyczącego własnej historii, w każdym razie nie omawiając starszej i nowszej literatury niemieckiej. Aż do roku 1966, który w pewnym sensie był dla mnie rokiem przełomowym. Na ukształtowanie dalszej historii mojego życia zaważyła śmierć studenta, mojego kolegi – Benno Ohnesorge. Został zastrzelony przed budynkiem opery przez policjanta, podczas demonstracji przeciwko wizycie szacha perskiego w Berlinie Zachodnim. Ta śmierć spotęgowała na jeszcze większą skalę protesty studentów.

Dość szybko ukończyłem doktorat, wiedząc że chcę pracować w fabryce, „lewicowy proletariąt”, to była jedna z ówczesnych inicjatyw studenckich „uczyć się od proletariatu”, który wskazywał drogę.

17 lipca 1972 roku miałem ustny egzamin doktorski na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie, a 1 września 1972 – rozpocząłem pracę w Osramie, jako niewykwalifikowany nastawiacz maszyn. Milczałem na temat doktoratu i studiów. W zasadzie wyparłem się tego. Fabryki cieszyły się wówczas, że w ogóle ktoś chciał pracować, panowała wysoka koniunktura, więc nie pytali o dokumenty.

Dla mnie decydujący nie był w gruncie rzeczy wymiar polityczny ówczesnych haseł, co zrozumiałem jednak wiele lat później w czasie psychoterapii, kiedy sam zmagalem się z depresją. Szczęśliwie się dla mnie złożyło, że teraz na skutek wymagań politycznych idę do fabryki, powielając los mojego ojca. Wszyscy, którzy szczerze chcą walczyć z kapitalizmem, który wówczas obwiniałem za śmierć ojca-robotnika, powinni uczynić to samo. I doszło do tego, że kiedy po trzech latach zwolniono mnie bezterminowo i paru kolegów, ze względów czysto politycznych, po wygraniu procesu o ponowne zatrudnienie, nie wróciłem, tylko przyjąłem odszkodowanie, aby dzięki tym pieniądzom móc się kształcić na ślusarza. W zawodzie ojca.

Kiedy na skutek niemożności zmobilizowania robotników zakończył się „Ruch zakładowy” w Berlinie Zachodnim, z fabryk zniknęli prawie wszyscy lewicowi intelektualiści, ja jednak stałem się w międzyczasie robotnikiem wykwalifikowanym, chciałem działać politycznie jako robotnik, żyć w robotniczej rodzinie i powrócić do mojej szwabskiej ojczyzny.

W Stuttgarcie w Daimlerze działała wtedy „grupa plakatowa”, o której głośno było w całych Niemczech. Ich bojowa postawa zrobiła na mnie duże wrażenie, że w ogóle istnieje i działa grupa robotników, która tak zdecydowanie sprzeciwia się konformistycznym radom zakładowym i dba o warunki pracy w fabryce. To „pasowało” mi do tematu mojego doktoratu. Jak zmieniają się warunki pracy i życia ludzi przy wprowadzeniu nowych technologii ?

W 1981 roku zacząłem pracować jako ślusarz w Daimlerze. W 1983. zimna wojna eskalowała nowymi stanowiskami raketowymi we wschodnich i zachodnich Niemczech. Na zachodzie wiele osób protestowało przeciwko tzw. podwójnej decyzji NATO.³ Przy tym powstała też „inicjatywa pokojowa Daimler-Benz” w zakładzie Untertürkheim, gdzie pracowałem. W roku 1983 wygłosiłem przemówienie przed tysiącami kolegów podczas zgromadzenia zakładowego na staro-nowy temat „Daimler-Benz i zbrojenia”, które zostało opublikowane w gazecie zakładowej. Chciałem pokazać, że Daimler był w czasie drugiej wojny światowej głównym producentem silników do samolotów, czołgów, statków, więc silników dla pojazdów lądowych, statków powietrznych i wodnych, co od stulecia symbolizuje trójramienna gwiazda – i że Daimler oraz inny południowoniemiecki producent MAN, miałyby konstruować wyrzutnie raketowe dla Pershingów i pocisków manewrujących, które teraz miały stacjonować w Szwabii.

Dotąd mówiono tylko o legendarnych samochodach z wieńcem laurowym i trójramienną gwiazdą, które także w czasie dwóch wojen światowych odnosiły zwycięstwa na torach wyścigowych; „mit Mercedes”, w którym robotnicy nie odgrywali żadnej roli, a zwłaszcza robotnicy przymusowi. Produkcja dla potrzeb wojennych, jako główna atrakcja technologiczna ...

To mnie sprowokowało do zajęcia się ciemną stroną historii koncernu. Było to możliwe tylko poza fabryką. Musiałem się z niej wydostać i Sylwester 1985 roku był moim ostatnim dniem w Daimlerze – tak wtedy myślałem. Osiem lat później mój pierwszy film o Daimlerze nosił tytuł: „Gwiazda i jej cień” (1993), który wymyśliłem na podstawie jednej z reklam Daimlera. Ukazała się ona w Boże Narodzenie 1939 roku. Z kosmosu srebrno-lśniaca gwiazda Mercedesu rzuca gigantyczny cień na planetę Ziemię, a jej środek – na Europę. Ten motyw stopiony z bukiem dziecięcym ze wschodniej Polski jest dla mnie od ponad trzech dekad tematem pracy mojego życia. W roku 1992

³ 12 grudnia 1979 NATO ogłosiło umieszczenie nowych komponentów, wyposażonych w głowice nuklearne w Europie Zachodniej, jako przeciwwagę dla sowieckich zbrojeń.

A jednocześnie żądało dwustronnych negocjacji między mocarstwami w sprawie ograniczania ich pocisków nuklearnych średniego zasięgu zlokalizowanych w Europie. W praktyce wykluczało to francuskie i część brytyjskich pocisków nuklearnych.

po raz pierwszy kręciliśmy sceny do filmu „Gwiazda i jej cień” w Warszawie, Daimler-Benz urządził wtedy w centrum miasta elegancki pokaz pojazdów. Kiedy w roku 1999 kręciliśmy „Dla zarobku i honoru” – sfilmowaliśmy niebiesko-srebrną, obracającą się gwiazdę, która promieniała z dachu domu znajdującego się naprzeciwko Pałacu Kultury i Nauki.

3. Wewnętrzne obrazy

Jako motto mojej książki „Obrazy, które pozostają na zawsze. Kobiety w obozie pracy przymusowej Daimler-Benz Genshagen” (wydawnictwo Metropol 2011), wybrałem zdanie autorstwa Ernsta Blocha: „Samo przypominanie sobie tego jest straszne, ale jednocześnie przypomina, ile jeszcze jest do zrobienia”. Kiedy czterdzieści lat po wojnie zaczęto nieśmiało mówić o milionach robotników przymusowych, stało się jasne, że na wiele rzeczy było już za późno. Poświęciłem tę książkę mojemu ojcu.

Daimler-Benz Genshagen w wizjerze.

W pierwszych miesiącach po upadku muru berlińskiego i otwarciu granicy z NRD, Muzeum Techniki i Pracy zleciło mi badania w Mannheim i zaprowadziło mnie do Ludwigsfelde, aby na dostępnym teraz terenie w puszczy Genshagen w okolicach Berlina, badać były zakłady wojenne Daimlera. W wywiadzie do „Księgi Daimlera-Benza” w roku 1986 Rosjanin Simon Guljakin opowiedział nam o swoich trzech latach wśród niemal 10 000 robotników przymusowych w tych zakładach. Jednak historia 1100 kobiet z obozu pracy przymusowej w Ravensbrück, które od jesieni 1994 roku musiały montować silniki Messerschmittów i bombowców Heinkel, wyszła na światło dzienne dopiero po obszernych poszukiwaniach i dzięki filmowi „Gwiazda i jej cień”. To trwale wystraszyło niektórych menadżerów, troszczących się o wizerunek firmy.

Dzięki finansowanemu przez Daimlera rocznemu kontraktowi, 50 lat po wyzwoleniu obozu pracy przymusowej w Ravensbrück, jako pracownikowi naukowemu zajmującemu się pomnikiem pamięci ofiar z tego obozu, pozwolono mi rozwinąć pierwszy, nadający kierunek model: włączenie koncernu w rozliczenie jego przeszłości w ramach zadań pomnika pamięci ofiar obozu pracy przymusowej. Istotnym wsparciem i podstawą moich badań była wydana w NRD praca Dietricha Eichholtza „Niemiecka gospodarka wojenna 1939-1945”. W jednej z ekspertyz dla Ravensbrück i Daimlera Eichholtz tłumaczył: „Ponieważ wiem, że badanie historii dawnego kobiecego obozu pracy przymusowej w Ravensbrück nie odgrywało przez dziesięciolecia żadnej roli, także w NRD, uważam planowane zbieranie materiałów za celowe. Naszym obowiązkiem jest nadrobienie tych zaniedbań przez pokazanie historii i dnia codziennego jednego z takich obozów” w puszczy Genshagen.

Po roku 1969 Daimler zaprzeczył, jakoby w jego zakładach kiedykolwiek zatrudniano robotników przymusowych, kiedy sekretarz „Comite International de Camps”⁴ (były więzień Oświęcimia) i autor Hermann Langbein ponaglał sprawę uznania odszkodowania dla Polek z Genshagen. Tak były potajemnie sabotowane wcześniejsze opracowania, w sprawie moralnego i finansowego uznania dla dawnych robotnic przymusowych. Ostatecznie odszkodowania zostały wymuszone trzy dekady później poprzez pozwy zbiorowe, wezwania do bojkotów i narastające wówczas problemy z wizerunkiem Daimlera w USA. Wypłacono je przez fundację „Pamięć, odpowiedzialność, przyszłość”. W gorącym okresie trwających latami sporów o odszkodowania dla robotników przymusowych, wygłosiłem na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy w roku 2000 przemówienie, które zakończyłem wezwaniem: „uhonorujmy pamięć zmarłych i zamordowanych robotników przymusowych minutą ciszy”.

Już w roku 1934 Goebbels zaproponował Daimlerowi - jako „najważniejszej dla potrzeb wojny wytwórni silników” produkcję wyposażenia dla nazistowskich maszyn latających ogromną halę służącą ostatecznemu montażowi, planowaną w Genshagen od roku 1940. „Nowy gigantyczny projekt” działający od roku 1942 – nazwano „Niemiecka halą”. Od jesieni 1944 roku w zakładzie, który w międzyczasie awansował jako wzorcowy zakład narodowych socjalistów, pod nadzorem strażniczek z SS, 1100 kobiet, w tym 725 Polek musiało montować legendarne silniki serii DB 601-610. Na pewno po zmontowaniu samolotów typu Jäger Me 109 i Me 110 oraz bombowców He 110, He 111 i He 177 miały one siać śmierć i zniszczenie w ojczyznach tych kobiet.

Kontynuacją tej historii jest to, że Daimler, który po roku 1945 w czasie okupacji sowieckiej utracił swoje wysadzone w powietrze zakłady, a na ich gruzach w Gensahgen – DDR zbudowało własne „Zakłady budowy samochodów”. Po upadku DDR – przejął również w dużej części tonący kombinat i mógł zaprezentować w roku 1990 całostronicową reklamę dotyczącą „Rozkwitu silników na wschodzie”.

4. Trudne spotkania...

Od początku moich działań nie chodziło mi o poszukiwania i dokumentację w tradycyjnym znaczeniu, moim celem było, aby – ze wsparciem uwikłanych w ten problem zakładów – umożliwić „spotkania” i „ponowne spotkania” byłych więźniów z różnych krajów „z miejscem ich przetrzymywania i pracy przymusowej” oraz z tamtejszą niemiecką ludnością, szczególnie z młodzieżą, jak również z pełnomocnikami koncernu.

⁴ Organizacja zrzeszająca byłych więźniów obozów koncentracyjnych

To nie były łatwe spotkania dla obydwu stron. Nerozwiazany problem „odszkodowań” dzielił gospodarzy i gości, którzy coraz natarczywiej żądali wypłacenia nie otrzymanej wcześniej zapłaty. Jednak Daimler aż do roku 2000 finansował inicjowane i organizowane przeze mnie spotkania z byłymi pracownikami z Genshagen. Ponieważ z powodu wieku, chorób i śmierci coraz mniejsza grupa mogła być świadkami tamtych czasów, zacząłem już w roku 1992 zapisywać ich historie w postaci dźwięku, obrazu i filmu, aby być odpowiednio przygotowanym do przyszłej pracy historyczno-pedagogicznej w szkołach i miejscach pamięci ofiar obozu koncentracyjnego. I żeby podczas „ostatniego pożegnania” świadków móc przywołać w pamięci nasze ostatnie lata.

W pierwszym dużym wywiadzie, były rosyjski robotnik przymusowy Daimlera – Simon Guljakin opisał szczegółowo już w sierpniu 1968 roku historykowi - Michaelowi Schmidtowi i mnie, swoje życie i pracę w obozie Genshagen. Simon sformułował mimochodem zdanie „Byliśmy nikiem”. Te dwa okrutne słowa towarzyszyły mi każdego dnia. Jednocześnie była więźniarka obozu w Genshagen, warszawianka Henryka Kluka, tłumaczyła w roku 1995, w pięćdziesiątą rocznicę wyzwolenia obozu, że wygłodzeni więźniowie w czasie przejścia przez las Below, gdzie wciąż na drzewach widać blizny po odartej korze, próbowali tą korą zagłuszyć swój rozpaczliwy głód. „Byliśmy prawdziwym dokumentem naszych czasów”.

W czasie żmudnego procesu stopniowego uwalniania się od obrazów pełnych bólu, obrony i oporu pojawiały się wraz z otwieraniem się ran kobiet z Genshagen pytania, które przez dziesiątki lat były tabu. To wymagało starannego, terapeutycznego zbliżenia i odbyłem odpowiednio kształciłem się w tym kierunku. Celem pracy było pokazanie na przykładzie zakładów „Daimler-Benz-Motoren-GmbH Genshagen” procesu, który doprowadził stopniowo z całym propagandowym wysiłkiem w jednym z wzorcowych zakładów nazistowskich, od „Piękna pracy” i „Siły poprzez radość” w czasie wojny od roku 1942 do „Normalizacji barbarzyństwa” (Neil Gregor).

Ponad pięciuset zmarłych w Genshof robotników przymusowych Daimlera pochowanych jest na cmentarzu Ludwigsfelde, nie uwzględniono przy tym 130 ofiar nalotu bombowego z 6 sierpnia 1944 roku i 19 zamordowanych kobiet w mogile masowej, które dopiero w 50. rocznicę wyzwolenia obozu otrzymały swoją tablicę pamiątkową. Aż do tego czasu, czyli przez całą epokę NRD, nie było żadnych odniesień dotyczących tych zbrodni ani miejsc upamiętnienia ofiar.

Książka „Obrazy, które pozostają na zawsze” przypomina nam postaci mężczyzn i kobiet, których godność, jak głosi obecnie napis na kamieniu pamiątkowym w Genshagen, została zdeptana. Możemy się tylko cieszyć, że Simon Guljakin i wiele kobiet z Genshagen pozwolili wejrzeć w swoje wewnętrzne obrazy, że węgierska Żydówka Edith Kiss zostawiła nam spuściznę swoich wewnętrznych obrazów w postaci

30 gwazdów z „Albumu deportacji”, próbując się od nich uwolnić. My chcemy je zachować, wykorzystając do edukacji młodzieży w szkołach, kościele, miejscach

13

pamięci, kiedy tych kobiet już nie będzie między nami, aby nie zanikło echo ich głosów, które pobrzmiwa nad gruzami Daimlera w lasach puszczy Genshagen.

5. Jeśli echo ich głosów umilknie – zginiemy

10 kwietnia 2005 roku proboszcz kościoła luterańsko-ewangelickiego w berlińskiej dzielnicy Spandau – Peter Kranz, z którego konfirmantkami prowadziłem przez cztery lata projekt młodzież-media, „Praca przymusowa, widzieć i zrozumieć”, wygłosił kazanie z serii „60 lat później”, którego fragmenty chcę przytoczyć.

„Jak pełne gracji są w górach kroki posłańca dobrej nowiny, który głosi pokój. Głosi dobro i wyzwolenie. Mówi do Syjonu: Twój Bóg objął panowanie”. (Izajasz 52, wers 7)

Przed 60 laty, w ostatnich tygodniach przed końcem drugiej wojny światowej, wyzwolono duże obozy koncentracyjne na ziemi niemieckiej: Buchenwald 11 kwietnia – przez armię amerykańską, Sachsenhausen 22 kwietnia – przez oddziały sowieckie i polskie i ostatecznie 30 kwietnia kobiecy obóz koncentracyjny Ravensbrück – przez Armię Czerwoną.

Wiemy, że miliony ludzi zostały zamordowanych w obozach koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy. Ale także wyzwolenie przyszło zbyt późno dla wielu więźniów, którzy umierali w konsekwencji pobytu w obozach.

Słyszeliśmy w czytaniu, jak posłaniec nadchodzi przez góry, aby obwieścić ludowi Izraela w niewoli babilońskiej pokój oraz wyzwolenie z wygnania i niewoli. Który mówi do ludu Syjonu: Twój Bóg objął panowanie”.

Nie jestem teologiem i nie ważę się zadać pytania, gdzie był Bóg przed objęciem władzy w Jerozolimie? Ani gdzie był przed wyzwoleniem obozów koncentracyjnych? Może powinniśmy raczej zapytać, gdzie były kościoły, gdzie byli chrześcijanie, gdzie byli ludzie? Jeszcze do maja 1945 roku wielu więźniów uczestniczyło w marszach śmierci, przez które naziści chcieli ukryć przed naciągającymi wyzwoliciełami cały ogrom swoich zbrodni. Kolejne tysiące ludzi było ich ofiarami, gdyż nie byli w stanie przez terror w obozie i prace przymusową iść dalej.

Eugenia Chałupszyńska-Hamula, z d. Goldberg, jedna z kobiet z Genshagen, która będzie uczestniczyć 18 kwietnia jako gość w projekcie młodzieżowym, opisała to następująco:

„Byliśmy wykończeni, wygłodzeni, brudni i zawszeni, krótko mówiąc – wyglądaliśmy jak duchy. Niemcy obrzucali nas kamieniami. Powiedziano im, że jesteśmy polskimi bandytami. Wodę znajdowaliśmy tylko w korytach do pojenia bydła. Kto zostawał za kolumną był rozstrzelany i pozostawał tam na wieczność. Droga, którą szliśmy była usłana trupami. Po tym niosącym śmierć błakaniu się miałam w nocy z drugiego na trzeci maja profetyczny sen: ukazała mi się na niebie Matka Boska. Następnego ranka nadeszła dla nas wolność. Wyzwoliła nas armia amerykańska.”

Posłanką dobrej nowiny dla Eugenii była Maria, w noc przed jej uwolnieniem. Eugenia nie wiedziała jeszcze wówczas, że jej pozostała w Ravensbrück matka umrze dwa dni później.

Także po powrocie do Warszawy było mało radości. Z siedmioosobowej rodziny Eugenii powróciły tylko ona i jej siostra. Wehrmacht i SS prawie całkowicie zniszczyły miasto

14

jesienią 1944 roku, po zdławieniu Powstania Warszawskiego, które miało Polakom umożliwić samodzielne wyzwolenie się spod okupacji, przed zdobyciem miasta przez Armię Czerwoną.

Halina Dańko-Wojtczak, która też przybędzie do nas 18 kwietnia, opowiada jak została wysiedlona i deportowana z Warszawy:

„Jest 31 sierpnia 1944 roku. Powstanie Warszawskie trwa już od 31 dni. Miasto broni się, ale coraz trudniej utrzymać pozycje. Niemiecka artyleria niszczy domy, bombardowania powtarzają się co parę minut. Powstańcy otrzymują rozkaz, aby opuścić swe pozycje i przemieścić się kanałami w stronę centrum miasta, żeby tam dalej walczyć. Ludność cywilna Starego Miasta zostaje brutalnie wyciągnięta ze schronów przeciwlotniczych. Także moi rodzice i ja. Widzimy, jak rozstrzelują starych, chorych, także kobiety z dziećmi. Tak zginął mój 62-letni ojciec Bolesław Danko na ulicy Ogrodowej 59.”

W tym czasie Wehrmacht i SS rozstrzelali w Warszawie ponad 30 000 cywilów. 600 000 zostało wywiezionych z miasta. 200 000 do obozów pracy przymusowej. Codziennie docierały ogromne transporty warszawianek do Ravensbrück. (...)

Kiedy przed wielu laty staliśmy z jedną z kobiet z Warszawy, Alicją Protasiewicz, nad brzegiem jeziora Schwedt, patrząc na wieżę kościelną po przeciwnej stronie jeziora w miasteczku Fürstenberg, opowiedziała nam, co myślała i czuła, patrząc z tego miejsca jako młoda dziewczyna w obozie pracy:

„Kiedy wówczas stałam tu nad jeziorem i patrzyłam na kościół na drugim brzegu, myślałam: Mój Boże, kościół jest tak blisko, tak blisko jest miasto, gdzie ludzie żyją normalnie. Modlą się przecież też do Boga, a tu obok ludzie są zabijani w tak bestialski sposób. Jak mogą do tego dopuścić? Tam ludzie modlą się na mszy, a tu ludzie są zabijani. To jest tak blisko, zaraz za jeziorem. Tego nie mogłam zrozumieć, przecież też byliśmy ludźmi. Dlaczego tam nie wiedzieli, jak tutaj ludzie cierpieli, jak umierali? I prowadzili tam zupełnie zwyczajne życie.”

Czy o tym rzeczywiście nie wiedzieli ani chrześcijanie, ani proboszczowie, ani kościoły?

Przed kilkoma tygodniami stałem z konfirmantkami z naszego projektu na drugim brzegu jeziora, obok kościoła. Patrzyliśmy na Ravensbrück. Niebo było zachmurzone, w powietrzu czuło się śnieg. Nawet przy niepełnej widoczności można było wyraźnie dojrzeć mury obozu i krematorium z jego kominem. Wcześniej zawsze leciał z niego dym. Tak mówią kobiety, które przeżyły. Wydobywał się z niego ogień. W całej okolicy unosił się zapach palonego mięsa. Popiół z krematorium wyrzucano do jeziora.

Być może wielu rzeczywiście nie wiedziało, co działo się w obozach. Ale o tym, że Warszawa ma zostać zrównana z ziemią, bo jej mieszkańcy odważyli się powstać przeciwko okupantowi, pisały wszystkie gazety. O czym były kazania w naszych kościołach 60 lat temu? Tylko nieliczni duchowni opowiedzieli się przeciwko nazistowskiemu terrorowi. (...)

Posłuchajmy ponownie Eugenii:

15

„W Ravensbrück byłyśmy już tylko numerami. Ja miałam numer 68648, moja mama 68649 a moja siostra 68650. Wkrótce przybyli fabrykanci z zamiarem wyszukania pracowników. Byłyśmy zawstydzająco dokładnie oglądane i wybierane. Stałyśmy jedna za drugą, nagie. Matki, siostry, ciotki i babki, to nie zdarzało się nawet w domu. A wszystko w obecności strażniczek z SS, niemieckiego oficera i fabrykantów z Daimlera. Oni oglądali nas dokładnie, od stóp do głów. Zaglądali nam nawet do ust, jak bydłu.”

Na jesieni 1944 roku przedstawiciele Daimlera sprowadzili 1100 kobiet, pośród nich 700 Polek z obozu Ravensbrück do pracy przymusowej przy produkcji służącej celom wojennym.

Posłuchajmy ponownie Alicji:

„Starałam dostosować się do zastanych warunków, pomimo że było to niesłychanie trudne, ponieważ praca była ponad nasze siły, a porcje żywnościowe dużo za małe. Kilka miesięcy po naszym przybyciu do Genshagen zmarła moja najlepsza przyjaciółka – Stefania Barenholc, która była wykończona nie tylko psychicznie, ale też fizycznie. Musiałam pracować na jej stanowisku. Niemiecki majster powitał mnie słowami: „Jeśli będziesz płakać, też umrzesz”.

W tych dramatycznych sytuacjach wiele polskich dziewcząt i kobiet znajdowało oparcie w wierze.

Maria Kozłowska, która już nie może do nas dołączyć – siedem lat temu nie obudziła się pewnego ranka – tak opowiadała w 50. rocznicę wyzwolenia obozu w Ravensbrück:

„Piękna, młoda dziewczyna, która pracowała przy mnie, cały czas się modliła. Tak, jakby czuła wewnętrzne powołanie, misję. Jak święta.

Zrobiła różańce dla koleżanek. Formowała kuleczki z chleba i robiła z nich różańce. Chciałyśmy oddać jej chleb, który zużyła dla nas, bo przecież potrzebowała co najmniej kromkę chleba na każdy różaniec. Ale nie chciała wziąć od nas chleba.

Robiła to, abyśmy mogły się modlić.

Dla nas jest to cenna pamiątka. Chronię ją bardziej, niż chroniłabym cenny klejnot, jeśli bym taki posiadała. Ogromną perłę nie chroniłabym tak, jak tego różańca. I kiedy umrę, przekażę go córce i wnukom. Żeby wiedzieli, że były tam takie cudowne osoby, w tak nieludzkich czasach. To też nam pomogło przetrwać.”

Halina opowiada:

„Maria Białkowska i jej córka Barbara zrobiły modlitewnik, z którego przepisywałyśmy modlitwy. Pamiętam pewne szczególne wydarzenie. Siedziałyśmy przy stole i sortowałyśmy części silników. Na moich kolanach leżały modlitwy. Opuściłam głowę i modliłam się. Nagle stanął przede mną esesmann ze swoim dużym brązowym psem. Ostro zapytał: „Co robisz?”

Wstałam, podałam mu modlitwy i powiedziałam: „Modlę się.” Szybko je przekartkował i rzucił przede mnie. Potem odszedł, nie spisawszy nawet mojego numeru.

Sądzę, że pomogła właśnie modlitwa. Jezus nie dopuścił, abym cierpiała, bo się modliłam. Czy to nie był znak? To była bardzo poruszająca chwila. Najpierw mówi do mnie z groźbą w głosie: „Co robisz?” a potem nic z tego mi się nie stało. Deo Gratia.” Dzięki Ci Boże.

Przy wersji „Twój Bóg objął panowanie” z proroctwa Izajasza, myślę zawsze o Eugenii, Alicji, Marii i Halinie. Bez posłańca dobrej nowiny, bez obwieszczenia pokoju i wyzwolenia, te polskie dziewczyny trwały w wierze pomimo terroru SS i pracy

16

przymusowej w obcym kraju, a nawet wywalczyły ją dla siebie wbrew upokorzeniom doznanym do „rasy panów”.

Zofia Ziembicka przeżyła jako 14-latką wojenną wigilię w roku 1944 w Daimlerze:

„W wigilię postawili na środku hali fabrycznej choinkę przystrojoną swastykami i rozkazali nam śpiewać „Cichą noc” po niemiecku. Nauczyli nas tego wcześniej.

Ponieważ jednak nie chciałyśmy śpiewać po niemiecku, a za to zaśpiewałyśmy „Bóg się rodzi” po polsku – pobili nas i zamknęli w piwnicy. To była nasza wigilia.”

16-letniej Janinie Rucińskiej udało się, kiedy musiała w Ravensbrück rozebrać się do naga i zabrano jej wszystkie rzeczy osobiste, zachować zdjęcie matki. W opatrunek, który prowizorycznie chronił ranę z Powstania Warszawskiego, zawięła zdjęcie. Z odpadów aluminium, pozostałych po produkcji silników samolotów bojowych, wycięła małe krzyże i starannie opiłowała.

Maxi, konfirmanta ze Stowarzyszenia Lutra, napisała w jednym z listów do Janiny:

„Kochana Janino, nazywam się Maxi i uczestniczę od pół roku w projekcie Helmuta Bauera. Sposób w jaki Pani przeżyła, wywarł na mnie duże wrażenie. Uważam, że ukrycie zdjęcia matki wymagało dużej odwagi. Jednak największy podziw wzbudziło we mnie to, że robiła Pani krzyże. I nawet częściowo je Pani starannie opiłowywała.

Pozdrawiam, Maxi.”

Maxi jest smutna, że Janina nie może do nas przybyć, ponieważ złamała nogę, ale wycinane i opiłowywane przez nią z odpadów aluminium krzyże, znajdują się na naszej wystawie ku czci tych kobiet. Tak jak różańce i modlitewniki jej koleżanek.

Emilia Rykiel jako 16-latką napisała tekst, podobny do pieśni żałobnej, którą śpiewała na melodię melancholijnej rosyjskiej pieśni *Wolga, Wolga* (Stenka Rasin)

Nazwała swą pieśń „Tęsknota uwięzionego dziecka”:

Ach, ja nieszczęsna, całkiem sama
czy muszę być na obczyźnie
Oddzielona od rodziców
muszę ukrywać moją tęsknotę.

Ach ! Ukochana matko,
niech Niemców trafi szlag !
Ach, mammo, moja droga
Niemcy nas rozdzielili.

Ty jesteś tam i martwisz się zrozpaczona,

gdzie ja zaginęłam, no gdzie
A ja siedzę tu w obozie
I martwię się też o ciebie.

17

Ach ! Tato, mój kochany
Wszędzie widzę twój obraz
Twoje usta mówią mi,
że do ciebie powrócę.

Ach ! Wy wiatry, które wiejecie z wszystkich stron,
przynieście nam nowinę
Co nowego w naszej Polsce,
czy jest tam dobrze, czy źle ?

Och, ty księżycu i wy gwiazdy
oświetlcie nasz kraj
i błagajcie ojca w niebie,
aby go pobłogosławił i uwolnił.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie
przecież my też jesteśmy Twoimi dziećmi
Pokornie prosimy Cię o litość
zlituj się, ach zlituj się !”

Dla wielu tych, którzy przeżyli obozy pracy przymusowej, wyzwolenie jest związane z konkretnymi osobami, ich osobistymi „posłańcami dobrej nowiny”.

Alicja opisuje moment swojego uwolnienia:

„Kiedy byłam w obozie myślałam, że jeśli przeżyję to piekło, nie będę w stanie normalnie żyć. Myślałam, że poświęcę życie ludziom, którzy potrzebują pomocy i opieki.
Kiedy zostaliśmy wyzwoleni przez Amerykanów, jeden z żołnierzy zaprowadził mnie do opuszczonego domu i postawił mnie przed dużą szafą pełną ubrań. Pokazał mi gestem, że mam sobie coś wybrać, bo przecież wciąż nosiłam strój więzienny. Wybrałam białą bluzkę. Była z delikatnego materiału i bardzo przewiewna, miała tak piękne, szerokie rękawy. Był maj, kiedy stałam w ogrodzie, a ciepły majowy wiatr „wydymał” moje rękawy, wtedy zapomniałam, że chciałam poświęcić życie innym ludziom i zaczęłam prowadzić całkiem zwyczajne życie.”

Czy mogło się udać całkiem zwyczajne życie po obozie pracy ?

W lutym nasza młodzież napisała listy do kobiet w Warszawie, zadając im pytania, które pojawiły się w czasie poznawania ich historii.

Nasz konfirmant Tobiasz zadał Alicji pytanie. „Czy po wojnie rzeczywiście wiodłaś całkiem normalne życie ?” Alicja odpowiedziała:

„Jeśli człowiek jest w takiej sytuacji, w jakiej my byliśmy w obozie, nie wyobraża sobie normalnego życia.

Wówczas myślałam, że chcę pomagać ludziom, troszczyć się o chorych i upośledzonych. Tak naprawdę myślałam. Ale kiedy byłam wolna, nagle zaczęłam widzieć to inaczej. Odczuwałam ogromną radość życia, nawet promień słońca sprawiał mi niepopisaną radość.

Odczułam ten majowy wiatr jako coś magicznego i on mi wówczas uzmysłowił, jak straszną karą jest być uwięzionym. Wolność jest najważniejsza dla człowieka. Człowiek może głodować, ale musi być wolnym, jak chmury, które wędrują po niebie.

18

I tak wraz z tymi uczuciami uleciały moje obozowe myśli, ale pomimo to – było w moim życiu zawsze miejsce dla ludzi, którzy potrzebowali pomocy.”

Nie wszystkim udało się po wyzwoleniu, tak jak Alicji. Ich życie było zdominowane przez duchowe i fizyczne cierpienie.

Alicja potrafiła rozwinąć w sobie wiadomość posłańca dobrej nowiny, majowego wiatru, chmur na niebie, przekazać swoim dzieciom i naszej młodzieży. Żyje do dziś z tą leczniczą siłą. Obecnie stara się nauczyć możliwie najwięcej niemieckiego, aby w czasie naszego spotkania w 60. rocznicę wyzwolenia, mogła lepiej porozumieć się z naszymi konfirmantami.

Tę siłę czułem też, kiedy Alicja, nasza tłumaczka Antje i ja odwiedziliśmy Emilię, która w obozie śpiewała swoją „de profundis clamavi”⁵

Emilia cierpi od lat na chorobę Alzheimera. Jej dzieci ją ubezwłasnowolniły, tzw. odszkodowanie z Niemiec wzięły sobie, a matkę zesłały do prostego domu opieki, daleko poza granicami Warszawy. Tam odnaleźliśmy ją, siedzącą w wąskim ponurym pomieszczeniu, w którym nie było nawet jednej rzeczy osobistej. Z rękami przywiązanymi do fotela, wychudzona i pomarszczona, jak moje wyobrażenie o więźniach w czasie marszów śmierci.

Opiekunki mówią „Nie możemy przecież za nią wciąż biegać i pilnować, żeby wskutek swojej dezorientacji nie narozrabiła.”

Emilia znów jest w sytuacji, gdzie grozi jej coś podobnego jak w obozie. Jedna z jej warszawskich koleżanek, Krystna Usarek sformułowała to następująco: „Dla mnie najgorsze w obozie było nie to, że się umierało, ale to jak obchodzono się ze śmiercią.

Podczas mojego, trwającego latami towarzyszenia tym kobietom w ich bolesnych wspomnieniach, wydały mi się one niekiedy posłańcami dobrej nowiny, które głoszą pokój, dobro i zwiastują wyzwolenie. Wyzwolenie z najgorszej formy barbarzyństwa dla życia w godności i szacunku dla człowieka.

Aneks do akapitu pierwszego w części pierwszej „Dziecięcy bucik ...”

Ponad 10 lat po moim kazaniu dotarła do mnie w okresie adwentu 2015 roku dobra nowina ze wschodniej Polski: Krzysztof, którego bucik leżał przed 37 laty na drodze przy Łabuniu, którego znałem jedynie imię, ale nie adres, został odnaleziony za pomocą zdjęcia z roku 1979

⁵ De profundis clamavi - w tłumaczeniu na polski „z głębokości (głębin, otchłani...) wołałem do (wzywałem) Ciebie, Panie.

z mojej książki. Mieszka z żoną i dwiema córkami nadal w okolicy Zamościa. Mam nadzieję, że w roku 2016 odwiedzę tę rodzinę.

W Internecie pod adresem www.gesichter-der-zwangsarbeit.de można odnaleźć fragmenty „Wewnętrznych obrazów, które pozostają na zawsze”, filmów opowiadających o robotnicach przymusowych „Gwiazda i jej cień”, jak również biografię z obrazami Edith Kiss.

Sukcesywnie będę tam informował o mojej dalszej pracy i planach na przyszłość. Chętnie odpowiem na pytania albo wskazówki do mojej pracy: helmuth.bauer@web.de

(Przełożyła: Katarzyna Gawor)